

## **Wojciech Stanisławski: Frantowskie sztyblety, fryzjerski szyk. Co nam mówi dress-code powstań śląskich**

Najbliższą analogią powstań śląskich są, wcześniejsze o rok czy trzy, walki o Lwów. Tyle że, by tak rzec, z odwróconymi znakami... – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Śląsk – co tu Powstanie?”.

Bodaj jedyny artykuł monograficzny, którego nie napisano jeszcze o powstaniach śląskich (choć, oczywiście mogłem po prostu użyć niewłaściwych słów-kluczy, przeszukując Bibliografię Historii Polski online, to tekst, który opisałby „dress-code powstań śląskich”. Ja go nie napiszę – nie jestem specjalistą w żadnej z tych dziedzin. Ale ilekroć sięgnę po zdjęcia z tamtych zrywów (już nie na szklanych płytkach czy celuloïdzie – grzecznie ułożone w albumach), jest to pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy: jeszcze przed tasowaniem w myślach szans (wątplych), jeszcze przez kreśleniem w myślach na wyobrażonej mapie biegu rzeki Brynicy, „Linii Percivala” i „Linii Korfantego”.

Ta pierwsza, zaproponowana początkowo przez Ententę obejmowała, jak wiadomo, jakąś 1/5 obszaru plebiscytowego, jego południowo-wschodni skrawek: Wodzisław tak, Żory (choć w większości opowiadające się za Niemcami) i Tychy – tak, ale już nie cały pas Gliwice-Zabrze-Chorzów: nie północ z Olesnem i na pewno nie Góra św. Anny. Ta druga, realistyczna, nakreślona przez komisarza

Korfantego na wiadomość o spodziewanym podziale, sięga po Markowice, Górę św. Anny, Gogolin, ale już nie dalej: zostawia po niemieckiej stronie Olesno i Opole. Granica między nią a linią zawieszenia broni z 10 maja 1921 – to ślad kilku dni pancерnej niemieckiej kontrofensywy.

Między tymi liniami osadzić można większość dagerotypów niepodobnych do żadnych innych. Do powstania, zwłaszcza na terenach miejskich, zwykle idzie się w cywilnym stroju, nawet, jeśli marzy się o zamianie go na *battledress*: mamy więc brodaczy w tużurkach i odkurzonych naprędce czamarkach z czasu Powstania Styczniowego i całą galerię koszul, marynarek z podkasany rękawem, spódnic sportowych i mniej, butów narciarskich i górskich z Powstania Warszawskiego. Ba, mamy nawet na upartego ucukrowane przez Kossaków brudnobiałe sukmany kosynierów.

*Przybrudzone, rozchełstane  
na klacie białe koszule.  
Znoszone marynarki, a pod  
nimi – kamizelki, nieraz  
krawaty. Chlebaki, onuce, na  
nad nimi czasem wyfasowane  
gdzieś maciejówki, ale  
znacznie częściej – kaszkiety,  
meloniki, fedory*

Ale to, co widać na zdjęciach spod Góry św. Anny, z odcinka w anonimowym polu i z upozowanego zdjęcia zbiorowego grupy dywersyjnej „Konrad Wawelberg” nie ma sobie równego. Przybrudzone, rozchełstane na klacie białe koszule.

Znoszone marynarki, a pod nimi – kamizelki, nieraz krawaty. Chlebaki,

onuce, na nad nimi czasem wyfasowane gdzieś maciejówki, ale znacznie częściej – kaszkiety, meloniki, fedory. Te krawaty zawiązane grubo, dość niezgrabnie, bufiasto, jak na potańcówkę. Na nogach – sztyblety lub półbuty. Już nie dziadkowe chodaki ani ojcowskie buty z cholewami, jeszcze nie buty narciarskie, jakie może, przy szczęśliwym obrocie spraw, przymierzać będzie syn w Katowicach, u Baty albo w przedstawicielstwie Braci Jabłkowskich. Frantowskie sztyblety, fryzjerski szyk, lepsze do tańca niż do marszu.

Teza pierwsza, chyba bezsporna: że powstania śląskie były najbardziej ludowym/plebejskim i najbardziej miejskim zrywem oprócz Powstania Warszawskiego. Mało, że bezsporne, jest to w pewien sposób oczywiste: są mu najbliższe w czasie, przypadły na epokę urbanizacji, industrializacji, ruchów i oświaty masowej.

Ale skoro tak, pora na tezę drugą, nierównie bardziej obrazoburczą: powstania śląskie bliskie są wcześniejszym o rok czy trzy walkom o Lwów – tyle, że z polską stroną obsadzoną tym razem w roli Ukraińców...

Oczywiście, szczegóły różnią się i analogia jest mocno kulawa: Lwów roku 1918 był bardziej „polski” demograficznie niż miasta Górnego Śląska – niemieckie. Ale już jeśli idzie o infrastrukturę instytucji akademickich, szkół i organizacji społecznych – jest naprawdę blisko, ze wszystkimi Towarzystwami Szkół Ludowych nad Olzą i Proswitami nad Pełtwią, Masłosojuzem i kasami samopomocowymi...

Podobna jest skokowa urbanizacja tego obszaru (naturalnie, mocniejsza na Śląsku – Lwów pozostał dostojną stolicą uczelni, arcybiskupstw i prowincji, Imperium Austro-Węgierskie niechętnie brudziło sobie ręce smarem). Podobna – droga „ludu”, w ciągu pół wieku trafiającego z opłotków do zakładów pracy, rzemieślników, urzędów. Krowa żywicielka (na Śląsku – koza) ciągle jeszcze jest w cenie, ba, rzucana będzie jako argument przetargowy przez plebiscytowych agitatorów, żywa jest pamięć redlin, gomółek sera, matki pochylonej nad zagonem: ale nowe pokolenie fotografuje się już (znów wraca motyw zdjęcia) nie z zakrzepłym ze zgrozy przed dagerotypem obliczem, lecz z uśmiechem, loczkiem, starannym ułożeniem łańcuszka od dewizki. Szlifibruki, nie pejzany – ale na tyle jeszcze blisko pól, by okrzyk „chłop” nie był postrzegany jako obraza, by umieli kopać płytki okop w kartoflisku i z użyciem płyt chodnikowych.

Wyznaniowo bliscy, Polocy i Niemcy nawet bliżej niż Ukraińcy i Lachy – ale z silną składową antyklerykalną skierowaną przeciw „tamnym”, przeciw „panom”. I szerzej – z bardzo silną składową rewolty społecznej. „Tamci” to nie tylko ludzie obcego języka i przedstawiciele obcego państwa, reprezentanci obcych imperialnych racji: to przede wszystkim Panowie, szanowani, nielubiani i wyśmiewani. Brzuchaci ziemianie. Wysztafirowani oficyjerowie (to ważna składowa tarć po polskiej stronie między wysłannikami POW a komendantami polowymi w samozwańczej często randze plutonowego). Sztywni nauczyciele w cwikierach i z teczką, którzy śmiali się z „naszej” mowy i nie żałowali trzcinki. A teraz nowe miasto, to samo, które w pół drogi między Pełtwią a Brynicą, bo nad Wisłą, opiewa Tuwim, popluwa w czerwone, ledwo mieszczące się w przybrudzonych mankietach dłonie, i skrzykuje. Mamy już swoje gazety, swoje szkoły i swoją flagę. Teraz im pokażemy!

Tak było. I jeśli przeciągam tę ryzykowną analogię, to nie z prostej przekory, z chęci odebrania chwały Orłętom ani wybielania najemników z Freikorpsu, a wyłącznie po to, żeby pokazać ostateczną konsekwencję (i płynący zeń, a zbyt rzadko wykorzystywany) potencjał Rzeczypospolitej, która w początku XX wieku złączyła w sobie, w sposób niespotykany chyba gdzie indziej w świecie, dwa krańcowe doświadczenia: „panów” i „chłopów”; panowania i poddaństwa; Kresów – i ziem odzyskiwania.

*Wojciech Stanisławski*

*Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu



Ministerstwo  
**Kultury**  
Dziedzictwa  
Narodowego  
**i Sportu.**



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 - 2030

